

Lux Perpetua



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

*Lux perpetua*¹

Szliśmy ku niemu poprzez noc. Szliśmy ku świecącemu przed oczyma... gdzie... nie wiadomo. Szliśmy, a wieki mijały, szliśmy, nie wiedząc nic prócz tego, że idziemy, że trzeba nam iść.

— Czemu?

— To pytanie gdzieś się zapodziało wśród pokoleń, zaginęło w ciemności, odeszło precz.

Szliśmy... idziemy.

Szliśmy po czerni niezmiernej, wielką falangą. Ciasno było, czuleś oddechy gorące, znojne czoła okrywał pot... wokoło ciała, ludzkie ciała stłoczone w jeden kłęb, ogarnione jednym pędem ku czemuś, co przed nim. Zresztą² nic.

Tylko ono, to światło w dali tak zimne, obojętne, jak dalekiej gwiazdy ogromnej łyskanie, które nie daje ani jednego promienia idącym, nie oświeca nic... Tylko ono wiecznie oddalone tak, że mówią — ucieka przed pielgrzymami.

A pono³ pod nogami przepaści.

Nie wiadomo dobrze gdzie są, tylko czasem krzyk strachu się rozlegnie i wydaje się, jakoby ktoś przepadł.

Przestronniej robi się chwilami.

— Kiedyś dopiero cała gromada przepadła! Słyszę głos jakiś tępy, zaaferowany, a twarde.

— Eee nie! — odpowiadam — Nie! Pewnie jeno poszli na bliższe ścieżki...

— Taaak? — dziwi się ktoś koło mnie. Słyszę szmer zmieszanych głosów, żywą rozmowę.

— Nowe ścieżki... bliższe ścieżki...

Śmiechy wybuchają, szepty szemrzą.

Powstały „nowe, bliższe ścieżki”. Narodziła się nowa prawda. Czuję, że jestem obecny na chrzcinach nowej prawdy. Wiem, do jakiej wejdzie klasy prawd, działu, widzę jakiś widowisko, jakby w teatrze, słyszę jakąś muzykę, głos mówcy. A wszystko to jak we śnie, niejasno, ale pewnie znaczy: „Bliższe ścieżki”. Narodził się symbol nadziei.

Kto to uczynił we mnie, myślę.

I jak we śnie wiem zaraz: Tęsknota.

Ciemno. Przez chwilę nie widziałem, ciemność, zajęty wraz z nimi nowym kłamstwem, ale teraz... boli.

— O, jakże boli ciemność! — mówi sąsiad po lewej.

Zamykam oczy i zaraz mi lepiej.

— Zamknij pan oczy! — radzę — W ogóle... nie wiadomo, na co są oczy... Czy może potrzebne będą tam... Organy... na potem...?

Krzyk.

— Zapadł się człowiek pod ziemię!...

Wyciągnąłem rękę... nie ma go... przepadł.

— Morderca! — powiada ktoś nieśmiało, a zawistnie.

— Morderca! — podejmuje kilka głosów z przekonaniem.

¹*lux perpetua* (łac.) — nieustające światło. [przypis edytorski]

²*zresztą* — poza tym. [przypis edytorski]

³*pono* — podobno. [przypis edytorski]

— Wszakże nic nie widać! — broni mnie jakiś dziecięcy głosik.
— Morderca! — huczy wokół, tak pewnie i harmonijnie, że powtarzam razem z tłumem:

- Morderca!
- Umyślnie kazał mu zamknąć oczy!
- Umyślnie! Ciasno mu było!
- I to w najgorszym miejscu.
- Strzeżcie się mordercy!
- Zabił go! To zazdrość. Silny był. Mógł dojść... tam.
- Mógł zażegnać pochodnię od Wiekuistej Światłości...
- Silny był. Mógł dojść.
- I poświęcić nam...

Jakże naraz stało się przestronno⁴. Nie dowierzają mi ludziska.

Nagle potknąłem się i jednocześnie uczulem pod stopą krawędź skalną. Noga, jakby miała oczy, zobaczyła śmierć.

— Stać! — krzyknąłem. — Przepaść!

Ścichły kroki. Ale nie, ktoś idzie dalej. Wyciągnąłem dłoń.

— Stać!

Dotknąłem ramiona czyjegoś. Ręka, czulem, trzymała gruby kij.

Sąsiad szukał swym grubym kijem stoku. Posunąłem po nim ręką, kierując w stronę właściwą.

— Ot, tutaj, widzi pan! Tutaj...

— Hm... to nic, to niewielka dziura.

— Ależ tam... tam...

Dziwny jakiś kij, pomyślałem. Na końcu ma daszek lejkowaty, zaś pod daszkiem gruby hak. Drugi hak sterczy na końcu.

Latarnik jakiś, czy co?

Obeszliśmy, widać, szczęśliwie szczelinę, bo nikt nie płacze pomarłych swoich.

Idziemy. Bliżsi rozważają minioną przeszkodę.

— Ho, ho! — powiada jakiś facecjonista⁵. — Nie takie braliśmy z nieboszczykiem panem Hieronimem, świeć Panie nad jego duszą. Pamiętam, było to jakoś w Zapusty...

Z dalszych szeregów dolata⁶ wołanie:

— Morderca! Morderca!

Ale słowo już mdle jakieś, spóźnione, nic nie mówi.

Śpiew słyhać: pieśń w ciemności, to niemal jasność.

Ścieżyny bliższe, ścieżki nowe kędyżecie, kędy?

O ścieżki tajemne, gdzieżecie? Któż był ten mąż, który was wysledził?

Gdzież te nadzieje się narodziły, kiedy? Nie wiem sam nic, jak i oni. Tylko mi coś poczyna rozwijać w piersiach skrzydła, coś powstaje. Śpiewam wraz z tłumem:

Czy obiegacie ziemię wokół po twardych rozwinięte skałach?

Słyszę płacz kobiet tęskny i bezmyślny bek dzieci. Słyszę stąpanie wielu stóp, jakby po wodzie... Czy to nie fala łez przelanych?

Ty, któryś znalazł bliższe ścieżki, witeziu⁷ nasz... niech się stanie Królestwo Twoje... Niech będzie Wola Twoja... władaj... prowadź... rządź na wieki wieków Amen...

Podnoszę się na palcach, wyciągam się wysoko, posyłam wzrok na ciemną... Gdzieś, tam... na przedzie... On... odkrywca pewnie musi kroczyć na czele tłumów, obwołany królem... Czuję gorący oddech sąsiada.

⁴przestronno — dziś raczej: przestronnie. [przypis edytorski]

⁵facecjonista (daw.) — dowcipniś. [przypis edytorski]

⁶dolata (gw.) — dolatuje. [przypis edytorski]

⁷witeż (daw.) — dzielny rycerz, wojownik. [przypis edytorski]

— Czy sądzisz obywatelu, że tam coś w ogóle zobaczymy? — pyta ktoś szeptem.

— Oczywiście... naturalnie... — zapewniam, cały zasluchany jeszcze w pieśń.

— Tak? — pyta.

— Hm... to jest... przypuszczam... — powtarzam i czuję, że znów mdleje we mnie światło i radość.

— Przypuszczasz... hm... ano to mało obywatelu... mało... Ale przypuśćmy, że tak jest. Tedy pytam: cóż my tam zobaczymy?

— Ot, nic nie wiedzą! — mówi ktoś za nami.— Mówilem ci, nie wiedzą zgoła nic. Bo zresztą...

— Dajże spokój! Wszak słyszałeś, jak mówił: oczywiście... naturalnie...

— Światło zazwyczaj coś oświeca... po cóż by istniało! — wołam rezolutnie... — Wszyscy filozofowie...

— Thiii! Powiadasz tedy...

— A widzisz! — woła tryumfująco ten z tyłu. — Powiedział, że światło zazwyczaj coś oświeca. Poparł swoje twierdzenie świadectwem wieków myśli ludzkiej...

— Ładne poparcie! — wykrzyknął nagle jakiś desperat. — Zupełnie jak z tym Cyganem, co się świadczył własnymi dziećmi.

— To wariat. Nie zważajmy — ozwał się jakiś cichy głos przede mną. — Więc tedy twierdzi pan... no, ale gdzie dowód, gdzie jakiś namacalny dowód, że empiria nasza nie traci swych praw tam... uważasz pan... tam, poza szrankami poznawalnego... ha?

— Dowód... dowód! — rozległo się wokoło. Umilknałem, kryjąc się w ciemności, podczas gdy wokoło wrzało. Pochód zwichrzył się na chwilę.

Nagle tuż przy mnie posłyszałem szept:

— To ty?

— Dzięki Bogu. Znalazłeś mnie...

— W tym zamieszaniu...

Rozległ się odgłos pocałunku, raczej domyśliłem się tego odgłosu. Czegoś się oboje bali, widać. Pośród tych mąk po ciemku, ludzie mieli czas bronić sobie jeszcze pocałunku, uścisku, związków wedle woli, kaprysu nawet... dziwni ludzie...

— O pani — szeplecił teraz jakiś głos niedaleko. — Widzi pani tedy, że wszystko to są to tak zwane „legandy o Wielkiej Światłości”, utwory fantazji, przez wieki wytwarzane, budowane, spojone w gmach jednolity, piękne, szlachetne nawet w swej naiwnej, pierwotnej formie, przynaję... w jakimś tam wieku trzynastym porywające nawet, ale dziś, teraz...

— Więc czemuż wyszliśmy? — spytała kobieta.

— Paradne! Nie, pani na serio zachwycająca jest w tej swojej dziecięcej naiwności. Dlaczego wyszliśmy? Po pierwsze... ot tak z wewnętrznej⁸ ochoty... a po wtóre... po prostu wytrzymać w domu nie było sposobu... Te ciągle ciemności, ta czerń ciężąca na myśli, całun rozciągnięty na duszy... a pod nogami te nieznanne, niepewne, śliskie rzeczy jakies! Tu przynajmniej...

— Ta jasność daleka, która choć nic nie oświeca przed nami, jednak...

— Pani myśli: ten śpiew o jasności, ten wid cudu... prawda?

— Więc pan widzi, ot, tam...?

— Zachwycająca... zawsze zachwycająca... Ta wyobraźnia...

Więc zapomniałaś już pani? To, co widzieć się daje na ciemni, to jest projekcja stanów subiektywnych, obiektywacja ich, eksterioryzacja, powiedzmy fotografia uzewnętrzniona na przestrzeni... Jednym słowem jeno coś, czego nie ma zgoła realnie, faktycznie, obiektywnie. Dla istot innych, niżej albo wyżej ludzi stojących prawdopodobnie nie istnieją wcale te kształty i blaski, które my zwiemy: światłem. Więc możemy to wszystko jeszcze nazwać chorobą ludzką, epidemią, jaka grasowała na tym, a tym stopniu rozwoju istoty zwanej *homo sapiens*... Pani mnie rozumie? Ach! Cóż do diabła! Uważaj durniu jakies!

— Cóż to panu?

— Jakies cymbał trącił mnie w głowę drągiem. Ouu! To gorzej, że na końcu było coś żelaznego, jakies hak, czy coś... Latarnik przeklęty! Z gasidłem wybiera się na procesję... Bałwan! Pani się śmieje? Cieszy mnie ten doskonały zawsze humor...

⁸wnętrzny — dziś: wewnętrzny. [przypis edytorski]

— Więc pana boli?
 — Oczywiście...
 — Pocieszam się, że jest to tylko stan subiektywny, który właściwie realnie, faktycznie nie istnieje, wszak prawda?
 — Nieporównana! Zachwycająca! Co za dowcip!
 — Powiedz mi pan — nalega sąsiad z prawej — co możemy tam zobaczyć... tam... wiesz pan? Mów pan do ucha.
 — Nie wiem.
 — To wiem i ja. Ale co panu powiada nauka?
 — Nie jestem uczonym.
 — Inteligencja... zdrowy rozum... przecucie? Co powiadają?
 — Że możemy ujrzeć tam albo rzecz pomyślną, zgodną z naszymi tęsknotami...
 — Albo zaprzeczenie ich i tragedię ostatnią... tak?
 — Tak jest. Albo nic. Po prostu coś, co z nami nie ma nic wspólnego.
 — Jak to? Nic wspólnego? Więc bezcelowymi byłyby te tęsknoty odwieczne...
 — Przede wszystkim nie są odwieczne, a po wtóre kwestia celu jest jeno zbyt pośpiesznym uogólnieniem faktów zaobserwowanych w życiu osobniczym. Nie da się zaś zastosować do wielkich kwestii bytu.
 — Słuchajcie! Słuchajcie! — rozległo się wołanie. — Dwaj mędracy się zeszli i rozważają nasze przeznaczenie.
 — Jak to, nie są odwieczne? — dziwił się sąsiad z lewej strony.
 — Nie. Tak mówi zoologia.
 — To nie dwaj mędracy! Nie! To mędrzec i jego uczeń. Wszak słyszycie, że jeden wciąż pyta, a drugi mówi.
 — A który mądrzejszy? — kpił ktoś inny.
 — Obaj osły kwadratowe! — krzyknął ochryply człowiek.
 — Oszalał! Cicho bądź, cymbale! Pijanico!
 Odwróciłem się i mówię:
 — Ten pan ma wiele racji, tylko trochę przesadza. Powinien był powiedzieć: dwaj poszukiwacze prawdy, dwaj miłośnicy jasności, męczennicy dociekań... Na czymże to stanęliśmy? — spytałem sąsiada.
 — Na kwestii metody.
 — Ach! O to panu idzie. Więc powiedzmy na kwestii, jak należy postawić tezę istnienia samego problemu Wiekuistej Światłości... prawda?
 — Tak. Bowiem nie spostrzegam rzeczy pewnych i niezmiennych.
 — Widzicie, że to dwa osły. Miałem rację. Nie chcieliście mi wierzyć... Ha?
 — Może i tak być...
 — Jest tak, jak powiadam. Ja, panie święty, mam zawsze rację... Zawsze. Tylko psia-kość, panie święty, gdzieś mi się zagubiła droga do karczmy. Zabłądziłem, panie święty...
 — Więc pan ośmieliłbyś się podać w wątpliwość trwanie Wielkiej Światłości... Więc pan... Ach, Jezus Maria!
 — Co to panu?
 — Wbiłem sobie coś w nogę... O!
 — Czekaj no pan, zejdziemy na bok. Proszę o miejsce dla chorego. Na bok moi państwo. Przepraszam...
 Znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni opodal głównego koryta płynących fal.
 Mój ranny przestał narzekać.
 — Panie łaskawy! — szepnął — Nie wbiłem sobie niczego do nogi. Chciałem tylko oddalić się od sąsiadów, by z panem swobodnie porozmawiać.
 — Przykro mi, ale nie mam czasu! — zawołałem z trwogą. — Spieszę się bardzo, a i panu radzę nie tracić ani chwili drogocennego czasu. Nic tego nie nagrodzi!
 — E, cała wieczność przed nami! — odparł.
 — Nie znamy dnia ani godziny, mój panie!
 Porwał mnie za ramię.
 — Cóż znaczy to wszystko? Co to znaczy? — krzyczał nade mną.
 Trząśł się na całym ciełe.

— Powiedz mi pan zaraz! Te półsłowa napawają mnie wielkim niepokojem... mów pan!

— Wracajmy — odparłem — Nie traćmy ani chwili życia. Lada moment bowiem może stać się coś okropnego...

— Co!? — wrzasnął.

— Może stać się wokoło nas tak straszliwie ciemno... tak ciemno, że słów nie ma w ludzkim języku, ani krzyków w ludzkim gardle, ani serce tak mocno ze strachu bić nie potrafi w piersi.

Zerwał się i uciekł ode mnie.

Jeno to miałem na celu, jeno to. Źle jest cierpieć wraz z natrętnym sąsiadem. Wmieszany w tłum szedłem po chwili spokojnie.

Cicho płynęła pieśń o ścieżynach bliższych. Była jakby skrzydłem anioła, co zasłania przepaść śmierci. Dziękowałem Bogu, że przeze mnie to uczynił.

Zatopiony w rozważaniu prawdy i kłamstwa, owego podwójnego oblicza Boga życia doczesnego, szedłem, a ponad mną, niby sztandar, wiła się pieśń owa, pieśń-kłam o ścieżynach bliższych, wolnych od zasadzek, witeziu jakimś niewidzialnym posłanym przez Wiekiustą Światłość ku pomocy idącym.

Czasem także sły szmery o mordercy, który przebija nożem każdego, kto się doń zbliży. Czasem opowiadał ten i ów o sporze proroków, z których jeden był fałszywy, a drugi prawdziwy. Pono stoczyli ze sobą walkę o władanie światem. Walczyli długo, aż prorok prawdziwy pożarł fałszywego. Radość wielka zapanowała na moment, a sama Światłość wiekiusta miała tak się ucieszyć, że, jak mówiono, rozsiała swe blaski po ziemi. Zalała świat jasność, ale tak była przeraźliwa i krótka, że nikt nie skorzystał z błyskawicy... Pono tylko mąż zabić miał czas niewierną przysiędże żonę, no i pijak trafił do karczmy. Tyle wszystkiego dobrego się stało. Sły legendy różne, pelzły cicho, nie rozgłośnie, jak szmer fal rzeki podziemnej, co płynie niedostrzeżona ku morzu wiecznego zapomnienia.

Jakby mnie od nich, od tych idących pośród ciemni oddzieliło coś nieznanego, zostałem sam w ścisku. Nikt do mnie nie mówił, nie dyskutował ze mną, nie pytał o nic. Anim wiedział, czy jest kto obok, ani oni nie zdawali sobie pewnie z tego sprawy. Zostało tylko jakieś głuche, niepewne uczucie, że otom część z części, atom masy całej, kropla fali.

Nic ponadto.

Jako kropla bezwiednie toczyłem się naprzód niezdolny zbroczyć, nie chcąc, nie mogąc chcieć, chyba w fantazji czasem... przez ten sen, który zowią rozumowaniem.

I naraz uczułem... (a może trwało to już czas jakiś, tylko teraz uświadomiło się...) uczułem, że kroczy ktoś koło mnie z intencją zaczęcia rozmowy, z zamiarem powiedzenia czegoś ważnego.

Coś nas dzieli, czułem, coś nas dzieli, niepotrzebnie dzieli, albowiem należałoby wyświecić bardzo ważną rzecz.

Milczenie nas dzieli, pomyślałem i począłem śpiewać wraz z innymi. Głosy płynęły harmonijną, szeroką falą. Pieśń o nadziei była już teraz samą nadzieją. Akordy spiętrzyły się w ruchome kształty, jak fale morza, a na nich zamigotał żagiel, nie... rycerz płynący na białym płaszczu swoim, witeż opowiadany, a teraz już dopełniony, ożywiony tęsknotą i postawiony na czele tłumów idących po ciemni... Był już, czułem, widziałem go nieledwie, i śnił mi się szum sztandaru, który trzymał w ręku.

Śpiewaliśmy chwałę jego, pobudkę bohaterowi nuciły serca.

I ciągle ten jakiś człek, tuż przy mnie, a daleki, obojętny, a złączony z moimi myślami.

— Tak, tak! — zaczął mówić w tej chwili — Złączony jestem z twymi myślami obywatelu, podobnie jak i tamten, ów na przedzie... Hej, hej! Jednegośmy wszyscy rodu, po prawdzie, jednego!

— Cóżże to pan zacz?

— Sługa waszmości, ba, dziecko rodzone! Przypuszczenie jestem, które było na tyle śmiałe że wzięło na siebie formę widoczną. Mogłem być tym, mogłem być owym, wisia-

Filozof

lem ponad ludźmi jako możliwość jeno... Tyś rzekł... no i stałem się. A mogę być jeszcze czymś innym...

— Dialektyka po ciemku mnie nie bawi.

— Po ciemku mówisz? O, nie wiesz, co znaczy ciemno... A wszak myślałem, że wiesz. Przecież mówiłeś: „...tak ciemno, że słów nie ma w ludzkim języku, ani krzyku w ludzkich piersiach, ani serce ze strachu tak bić mocno nie potrafi”... ..Wszak tak mówiłeś? Otóż posłuchaj... Myślę, że coś się wielkiego stanie?

— Cóż takiego?

— Słabe wyginą od ciemności. To jest tajemnica Sądu.

— Czemu?

— To pytanie stworzyli ludzie. Nie ma go wcale.

— Nieprawda. Ja nie chcę. Ja zniszczę wszystko, co jest w tobie. Wszak mogę cię unicestwić, gdy zechcę.

— Mogłeś. Teraz już nie. Patrz...

— Czekać!

Uczułem, że jego ręka z gasidłem wyciąga się ku stronie, gdzie błyszczą nadzieja nasza, przeto chwyciłem ją, ściągnąłem ku ziemi i zawołałem głośno:

— Hej! Stójcie! Stójcie!

Chwała ci jasny na ciemności, chwała bliski zwycięstwa, w przededniu
szczęścia witamy cię pokłonem my, umęczeni drogą niezmierną...

Nie słyszeli.

Zaparłem się nogami w ziemię, wbilem plecy w postępujących za mną i przejęty przerażeniem wołałem:

— Hej! Stójcie! Stójcie!

— Na bok! Na bok! Nie tamować ruchu!

— Z drogi! Z drogi!

Pociągnęli mnie ze sobą.

— Pomrą — jęknąłem — poszaleją zaraz w pierwszej sekundzie! Co zrobić? Co
zrobić?

— Sięgam! Patrz! Idę! — mówił straszny człowiek.

Krzyknąłem i zaraz oprzytomniałem pod silnym wrażeniem.

Co za głupstwo. Co za głupstwo!

Strach przywiódł mnie do równowagi. Uczułem bezsens własnej halucynacji.

Wyciągnąłem ręce przed siebie i dotknąłem ludzi żywych. Złudzenie. Głupie złudzenie.

— Więc sprawa załatwiona?

— Oczywiście. Za godzinę dostaniesz pan zadatek. Doskonale, do widzenia.

Słyszałem znowu rozmowy. Finał jakiegoś interesu pieniężnego. Roześmiałem się. Więc ludzie załatwiają jeszcze interesy finansowe... dziwni ludzie...

Było mi teraz raźnie, wesoło niemal. Jakaś zmora usunęła się z piersi moich.

Z ufnością, jak nigdy dotąd, spojrzełem przed siebie, ku owej nadziei kroczącej przed nami w niezgłębione dale.

Naraz ziemia zatrzęsła mi się pod nogami. Coś białego spadło na głowę. Uczułem, że kolana ugięły się, w piersiach zabrakło tchu. Skamieniało wszystko, nawet ból...

Huk jakiś w głowie... zimno...

I znowu dobrze. Znowu dobrze.

Życie ruszyło naprzód... naprzód... świat się zachwiał, ale nie padł jeszcze martwy...

To tylko „ono” zachwiał się na małą chwilę...

Świat wydał jęk, stęknęcie. Przeleciał wielki głaz, z wirchu oberwany, przeleciał blisko, bliźniutko, musnął czelka i z cichym szelestem, po trawach zesunął się w przepaść. Jękła pierś ocalonego, zawyło pierwsze odetchnienie samo z siebie, gdy rozum jeszcze niczego podjąć nie zdołał.

Trawy załopotwały i tyle. Nie zrozumiały niczego.

I oni nie spozregli nic. Przeminięło, przeminięło szybciej, jak lata, jak zdolny był latać ich strach, ciężkie, niezdarne ptaszysko o nietoperzych skrzydłach.

Filozof, Kondycja ludzka

Więc nie można ich przygotować na zło.

Nie można.

Także nie trzeba im innego pokazywać szczęścia. Nie poznają twarzy obcej.

A gdyby nawet to wszystko, co zwie się nadzieją, gdyby nawet Wiekuista Światłość zagasła, szliby dalej ku niej, wpatrzeni w nią, jak patrzą na gwiazdę przed wiekami spaloną; której promienie dawno, dawno wysłane ku ziemi, nie dobiegły dotąd, nie sięgnęły w ten zakątek daleki, gdzie płynie fala głów po ciemni, gdzie brzmi rozlewna pieśń o bliższych ścieżkach, ku uciekającemu mirażowi wiodących.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-lux-perpetua>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, *Tropy*, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czernieckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).